

„To zupełnie niezwykła książka” Ryszard Kapuściński

Kazimierz Nowak



ROWEREM I PIESZO PRZEZ CZARNY LĄD

Listy z podróży afrykańskiej z lat 1931-1936

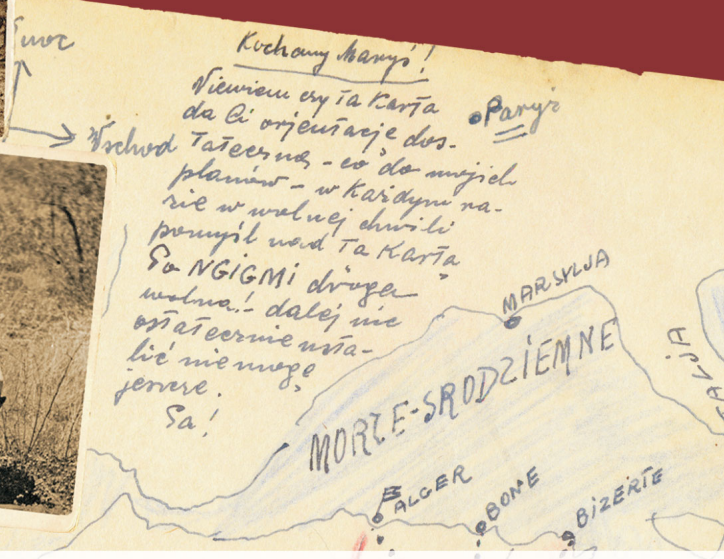
WYDANIE SIÓDME



Przejęty jestem lekturą książki Kazimierza Nowaka Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd. To zupełnie niezwykła książka ze względu na treść i osobę autora, zasługująca na dużo większą uwagę i szerszy oddźwięk. Rewelacyjna to rzecz, którą włączam jako stałą pozycję do swoich wykładów, rozmów, refleksji na temat reportażu zagranicznego; oby zajęła ona stałe miejsce na listach klasyki polskiego reportażu – czego zresztą jestem od tego momentu sam gorącym zwolennikiem.

Ryszard Kapuściński
Ryszard Kapuściński

Szlakiem wiodącym pośród fantastycznych krajobrazów, malowniczych wodospadów, dymiących wulkanów, nieprzeliczonych stad dzikich zwierząt królujących na bezkresnych przestrzeniach, poprzez piaski pustyni, bezdroża sawann i zarośnięte ścieżyny lasu równikowego podąża niestrudzenie samotny podróżnik. Gdzieś przystaje, ustawia aparat i robi zdjęcie, zapisuje coś w notatniku, po czym rusza dalej, pchając przed sobą swój objuczony skromnym dobytkiem, rozklekotany rower. To Kazimierz Nowak, autor niniejszej opowieści, która niczym bajka odśtania przed nami cudowną krainę odległą tak w przestrzeni, jak i czasie – Afrykę lat trzydziestych XX wieku...



www.kazimierznowak.pl

PARTNERZY

FUNDACJA
im. KAZIMIERZA NOWAKA

AfrykaNowaka.pl
2009-2011

Sorus
www.sorus.pl

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

ROWEREM I PIESZO PRZEZ CZARNY ŁĄD

Listy z podróży afrykańskiej
z lat 1931 – 1936

*O Maryś! – jak ja bardzo pragnę już raz napisać książkę
– taką grubą – ciekawą
– a jeden z pierwszych egzemplarzy właśnie ręcznie dedykować:
„Ukochanej mojej Marysieńce”.
Ale to jeszcze marzenie tylko
– czasu zbiegnie sporo, zanim krytyka weźmie mię w swoje szpony...*

Kazimierz Nowak (z listu do żony), Clanvilliam, okolice Rzeki Słoniowej
– Afryka, 5 czerwca 1934

KAZIMIERZ
NOWAK

ROWEREM I PIESZO PRZEZ CZARNY ŁĄ

Listy z podróży afrykańskiej
z lat 1931 – 1936

Zebrał, opracował i wstępem opatrzył
ŁUKASZ WIERZBICKI

Wydanie VI
zmienione


Sorus
POZNAŃ 2013

Fotografie autorstwa Kazimierza Nowaka pochodzą z prywatnych zbiorów
Elżbiety i Mariana Gliszewskich, Ireny Gołębiowskiej oraz Janiny Kielar

Projekt okładki: *Łukasz Wierzbicki*
Marcin Ćwikła – Agencja Reklamowa Nexus

Korekta: *Wojciech Nowakowski*

Mapy: *Dominik Szmajda, Mariusz Mamet*
Opracowanie graficzne zdjęć: *Dominik Szmajda*

Copyright © by Łukasz Wierzbicki & Wydawnictwo Sorus, Poznań 2000–2013

Wydanie VII, lipiec 2013 r.
Dodruk 2023

ISBN 978-83-63768-25-6

Printed in Poland

SORUS Sp. z o.o.
Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. (61) 65 30 143
e-mail: sorus@sorus.pl
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl
www.kazimierznowak.pl



Algier, listopad 1936 r.

TUNEZJA
Trypolis, listopad 1931 r.



SPIS TREŚCI

NOTA OD WYDAWCY / 9

WPROWADZENIE DO WYDANIA SZÓSTEGO / 11

PROLOG / 23

CZĘŚĆ PIERWSZA / 25

LIBIA / 27

1. Trypolis, początek afrykańskiej przygody / 29
2. Modlitwa pustyni / 32
3. Pierwszy rower u bram Sahary / 38
4. Miesiąc pustynnej włóczędzy / 43
5. Wesele arabskie / 48
6. Przez ogarniętą wojną pustkowia / 53
7. Wezwanie do komendy strefy / 59
8. Wybrzeżem Cyrenajki / 63

EGIPT / 69

9. Życie Egiptu / 71
10. Gdzie płynie bogactwo trzech światów / 77
11. List znad Nilu / 79
12. Królewska uczta / 81

SUDAN / 85

13. Dwie stolice Sudanu / 87
14. Ku misjom nad Białym i Błękitnym Nilem / 90
15. Legenda / 100
16. Łowy w Sudanie / 101

KONGO BELGIJSKIE, RUANDA-URUNDI / 109

17. Nad złotodajnymi rzekami Konga Belgijskiego / 111
18. Przez ziemie ludożerców / 115
19. Wśród Pigmejów / 123
20. Wspinaczka ku szczytom Ruwenzori / 128
21. U stóp Gór Księżycowych / 134
22. Równik wita włóczęgę / 139
23. Nad jeziorem Kivu / 141
24. Na dworze króla Ruandy / 146
25. Na bawełnianym szlaku / 150
26. Pośród największych miast świata / 156
27. Wielki kryzys w Katandze / 161
28. Krzyż przeciw bagnetom / 164
29. W obliczu błotnej śmierci / 168
30. Obląkaniec złota / 173
31. Królestwo pustkowia / 176

RODEZJA / 183

32. W tubylczej wiosce w Rodezji / 185
33. W rajcu czarnego świata / 191

34. Święta Bożego Narodzenia A.D. 1933 / 195
35. W złotym mieście bankrutów / 195
 ZWIĄZEK POŁUDNIOWEJ AFRYKI / 201
36. W białej Afryce / 203
37. Wśród Burów z Transwalu, weteranów wojny z 1902 roku / 208
38. Noc na Przylądku Igielnym / 212

CZĘŚĆ DRUGA / 215

1. Zima w Kapsztadzie / 217
2. W krainie przez Boga zapomnianej / 222

AFRYKA POŁUDNIOWO-ZACHODNIA / 231

3. Psie powstanie / 233
4. Wyspa polska / 238
5. Nad tajemniczym jeziorem Otjikoto / 243

ANGOLA / 249

6. Pora deszczów w kraju Owambo / 251
7. W okrutnym pierwotnym raju / 255
8. Święta wśród Polonii w Angoli / 260
9. List z dżungli Moxico / 265
10. Nad brzegiem Kassai, u progu nowej przygody / 266
11. Rozbitek Czarnego Łądu / 269
12. Pieszko przez Angolę ku równikowi / 278

KONGO BELGIJSKIE / 285

13. List znad rzeki Kassai / 287
14. Nareszcie prawdziwy król / 288
15. Jeśli pójde na mięso do kotła... / 293
16. Pustelnica z Krakowa / 297
17. Biały kapitan Czarnego Łądu / 301
18. Łodzią na ślub Kassai z Kongiem / 310

FRANCUSKA AFRYKA RÓWNIKOWA / 315

19. W najczarniejszej Afryce / 317
20. Zero stopni szerokości geograficznej / 323
21. List z puszczy podrównikowej / 328
22. Poczta pod równikiem / 329
23. W czarnym Paryżu / 334
24. W rajskiej krainie garnków / 339
25. Ueli, nowy przyjaciel / 349
26. Karawana / 359

FRANCUSKA AFRYKA ZACHODNIA I ALGERIA / 365

27. Wyścig ze śmiercią / 367
28. Tylko trupy tu koczują, tylko sępy tu żerują / 374
29. Oaza / 382
30. Pożegnanie / 389

WSPOMNIENIE / 391

INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH / 395

NOTA OD WYDAWCY

W związku z ogromną i wciąż rosnącą popularnością książki *Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd* Wydawnictwo Sorus przygotowało kolejne, szóste jej wydanie.

Dzięki uprzejmości rodziny Kazimierza Nowaka uzyskaliśmy dodatkowe materiały archiwalne, których analiza pozwoliła wnieść do tekstu wiele poprawek i uzupełnień. Przejrzeliśmy i zmodyfikowaliśmy materiał zdjęciowy oraz mapy, które zostały wykonane w nowym opracowaniu graficznym i z korektą trasy podróżnika. Dodaliśmy też indeks nazw geograficznych. Zaktualizowaliśmy również wstęp Łukasza Wierzbickiego – twórcy tej książki.

Szczególną wdzięczność winni jesteśmy uważnym Czytelnikom za nadesłane do naszej Oficyny uwagi o dostrzeżonych błędach i nieścisłościach we wcześniejszych wydaniach. Przy redagowaniu tekstu niniejszej książki przyświecał redaktorowi Łukaszowi Wierzbickiemu oraz Wydawnictwu podstawowy cel – by tworzone z fragmentów archiwalnych artykułów dzieło było książką Kazimierza Nowaka, stanowiło spójną całość, z zachowanym klimatem retro i rytmem opowieści podróżnika, oddającym wiernie ducha tamtej podróży. Z tego powodu podczas redakcji podpisów pod zdjęciami postanowiliśmy ograniczyć się do cytowania tekstu samego Nowaka i nie zdecydowaliśmy się na rozbudowę przypisów i objaśnień. Materiał etnograficzny, przyrodniczy, historyczny i geograficzny zawarty w reportażach Kazimierza Nowaka jest niezmiernie bogaty. Wierzymy, że doczekamy się osobnych pozycji naukowych poświęconych jego wyprawie.

Niniejszemu wydaniu *Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd* patronuje Fundacja im. Kazimierza Nowaka, która została zarejestrowana w listopadzie 2010 r. Intencją Fundatorów było powołanie instytucji mającej na celu pielęgnowanie pamięci o Kazimierzu Nowaku oraz skuteczną popularyzację dorobku, dokonań oraz systemu wartości tego niezwykłego, a przez kilkadziesiąt lat zapomnianego podróżnika.

WPROWADZENIE DO WYDANIA SZÓSTEGO

Szlakiem wiodącym pośród fantastycznych krajobrazów, malowniczych wodospadów, dymiących wulkanów, nieprzeliczonych stad dzikich zwierząt królujących na bezkresnych przestrzeniach, poprzez piaski pustyń, bezdroża sawann i zarośnięte ścieżyny lasu równikowego podąża nieustrudzenie samotny podróżnik. Gdzeniegdzie przystaje, ustawia aparat i robi zdjęcie, zapisuje coś w notatniku, po czym rusza dalej, pchając przed sobą objuzczony skromnym dobytkiem, rozklekotany rower. To Kazimierz Nowak, autor niniejszej opowieści, która niczym bajka odsłania przed nami cudowną krainę odległą tak w przestrzeni, jak i czasie – Afrykę lat trzydziestych XX wieku.

Odkąd sięgam pamięcią, mój Dziadek, Józef Wiśniewski, dzielił się ze mną mnóstwem fascynujących historii. Wśród nich ważne miejsce zajmowały zawsze opowieści o Kazimierzu Nowaku, poznańskim podróżniku, który w latach 1931–1936 odbył nadzwyczajną podróż do Afryki, a którego losy Dziadek mój jako chłopak śledził na bieżąco w prasie i czasopismach. Również od Dziadka dowiedziałem się, że jedynym powojennym wydawnictwem poświęconym Nowakowi był przygotowany przez córkę podróżnika, Elżbietę Nowak-Gliszewską, album *Przez Czarny Ląd*, zawierający ponad trzysta wykonanych przez niego fotografii.

Zainspirowany tymi opowieściami udałem się wiosną 1998 roku do biblioteki z zamiarem odszukania reportaży podpisanych nazwiskiem Kazimierza Nowaka.

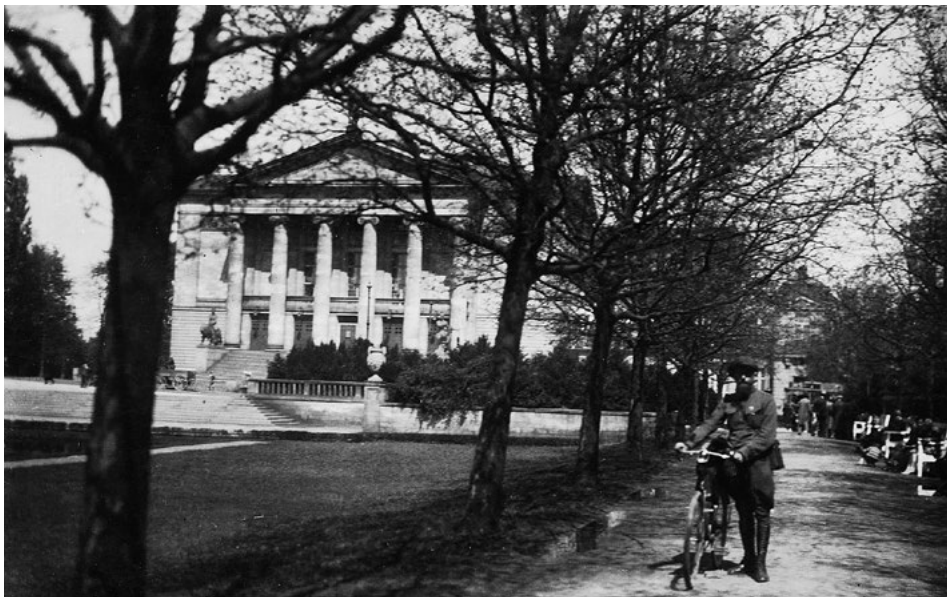
– Tak, to właśnie o tej podróży ci opowiadałem – ucieszył się Dziadek, gdy przyniosłem mu pierwsze kserokopie archiwalnych artykułów. Podekscytowany naprowadzał mnie na kolejne relacje, przywoływał w pamięci nazwy czasopism, w których się ukazywały. W poszukiwaniu reportaży Kazimierza Nowaka przejrzałem wówczas kilkaset woluminów i rolek mikrofilmów z numerami „Kuriера Poznańskiego”, „Światowida”, „Na szerokim świecie”, „Naokoło świata”, „Ilustracji Polskiej” oraz „Przewodnika Katolickiego” z lat 1931–1937. Praca trwała kilka miesięcy. Odnajdując w bibliotekach kolejne korespondencje z Afryki, ze zdumieniem i podziwem poznawałem niezwykle przygody poznańskiego podróżnika.

* K. Nowak, E. Gliszewska, *Przez Czarny Ląd*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1962.

Kazimierz Nowak urodził się 11 stycznia 1897 roku w miejscowości Stryj na Podkarpaciu. W wieku 15 lat udaje się do Watykanu – odbywa pierwszą samodzielną wyprawę za granicę.

Po pierwszej wojnie światowej zamieszkuje w Poznaniu. Podejmuje pracę urzędnika biurowego, jednocześnie w trakcie rowerowych wycieczek po kraju realizuje swe pasje podróżnika i fotografa. 19 marca 1922 roku żeni się z Marią Gorcik, tego samego roku rodzi się córka Elżbieta, w styczniu 1925 roku na świat przychodzi syn Romuald. W okresie kryzysu traci posadę i przez wiele miesięcy bezskutecznie szuka pracy. W marcu 1925 roku Nowak decyduje się wyjechać z kraju, by jako korespondent prasowy i fotograf zarabiać na utrzymanie rodziny. Odbywa dwie podróże po Europie, przemierza rowerem Węgry, Austrię, Włochy, Belgię, Holandię, Rumunię, Grecję, Turcję. W roku 1927 dociera do ogarniętej wojną Trypolitanii w Afryce Północnej. Kłopoty zdrowotne i brak funduszy zmuszają Nowaka do powrotu do Polski, postanawia jednak przemierzyć w przyszłości cały ląd afrykański z północy na południe. Podróżuje po Polsce, udaje się do Francji, jednocześnie czyni przygotowania do wyprawy. Mało kto wie wówczas o jego zamiśle, z tych zaś, którzy wiedzą, niewielu wierzy w możliwość spełnienia tych marzeń.

Wyrusza 4 listopada 1931 roku wpierw z Boruszyna do Poznania, następnie pociągiem do Rzymu, stamtąd rowerem do Neapolu, skąd przeprowia się statkiem przez Morze Śródziemne. 26 listopada zjawia się ponownie na Czarnym Łądzie. Swym siedmioletnim wysłużonym rowerem udaje się z Trypolisu



Kazimierz Nowak przed budynkiem Teatru Wielkiego w Poznaniu

wprost na południe ku odległemu o kilkanaście tysięcy kilometrów Przylądkowi Igielnemu. Gdy w Wielką Sobotę 1932 roku dociera do oazy Maradah, wzbudza popłoch wśród służb Komendy Strefy. Nikt nie potrafi zrozumieć, skąd pośród szczerzej pustyni znalazł się samotny cyklista z Polski. Władze włoskie z uwagi na niespokojną sytuację w Cyrenajce nakazują Nowakowi zmienić marszrutę i udać się przez Benghasi do Aleksandrii w Egipcie. Tam podróżnik znów obiera kierunek południowy. Wzdłuż Nilu, szlakiem Wielkich Jezior Afrykańskich posuwa się coraz dalej w głąb kontynentu tętniącego własnym, niezbadanym życiem. Jedynie z oddali docierają tu echa światowych wydarzeń – Wielkiego Kryzysu, polityki faszystów w Europie – tak nierealne wobec szalejących na kontynencie epidemii czy przesuwających się po niebie złowrogich chmur szarańczy.

Podróżujący w pojedynkę Nowak zachodzi czasem do tubylczej wioski, by utargować trochę żywności, wysłuchać murzyńskiej legendy. Poznaje Tuaregów, egipskich fellachów, żyjących pośród bagien Szilluków, dumny lud Watussi, Pigmejów, Burów z Transwalu, Hotentotów, Buszmenów, karłów Babinga, dzikich Abasalampasu, Murzynów Haussa oraz wielu innych egzotycznych mieszkańców kontynentu, połączonych wspólnym losem walki o przetrwanie w zdominowanym przez przyrodę świecie. Gdy rusza w dalszą drogę, rytm tam-tamów niesie innym osadom niebywałą wieść o samotnym białym na dziwacznym wehikule.

W samotności, przy dźwięku szeleszczącego płótna namiotu spisuje swe wrażenia i obserwacje. Do gazet pisze o pięknie kontynentu, ale i grozie afrykańskiej dziczy, o kolonializmie i globalizacji. Do ukochanej żony i dzieci o tym, jak bardzo tęskni i jak wielką ma nadzieję, że jego trud przyniesie rodzinie upragniony dochód.

Życzliwość, z jaką traktują go misjonarze dodaje Nowakowi otuchy. Gdy zaś podróżnik dociera do osiedli białych eksploratorów Afryki, poczucie osamotnienia wydaje się w nim narastać, spostrzega bowiem, jak wiele odróżnia go od urzędników, wojskowych, poszukiwaczy bogactw naturalnych i myśliwych przybyłych tu dla zysku, kariery, trofeów lub rozpusty. Wrażliwy na ludzką krzywdę i pełen szacunku dla dziewiczej przyrody, w niesłychanie, jak na owe czasy, krytyczny, odważny, niezależny sposób ocenia imperialne zwyczaje Europejczyków w Afryce. Nie spieszy się, gdy widzi na horyzoncie światła kolejnego miasta na swym szlaku, rozbija wtedy obóz i spędza jeszcze jedną noc z dala od osiedla ludzi, wśród ukochanej, nieskażonej cywilizacją afrykańskiej przyrody. Wbrew nadziejom przedstawicieli Ligi Morskiej i Kolonialnej, nie podziela kolonialnych ambicji państwa polskiego. Być może z tego powodu nie udzielono Nowakowi odpowiedniej pomocy materialnej, otrzymuje jedynie opony rowerowe posyłane przez firmę Stomil.

Maria Nowakowa tymczasem jest pośredniczką pomiędzy mężem a redakcjami drukującymi jego relacje. Dzięki honorariom za reportaże i zdjęcia z Czarnego Łądu utrzymuje rodzinę w Poznaniu. Regularnie szykuje paczki z materiałami fotograficznymi, nadaje je do Afryki zgodnie z precyzyjnymi wskazówkami

małżonka. Czasem udaje jej się posłać Nowakowi skromne środki finansowe, które ratują go od skrajnej nędzy. Śle mu także zakupiony w pracowni fotograficznej Kazimierza Gregera małoobrazkowy aparat Contax, dzięki któremu reporter mógł wykonać podczas całej podróży ponad 10 000 fotografii.

Ostatniego dnia kwietnia 1934 roku Kazimierz Nowak osiąga południowy kraniec Afryki – Przylądek Igielny. Przebywając w Kapsztadzie, decyduje się powrócić do domu inną drogą – znów samotnie przez cały kontynent. Wyrusza niezwłocznie mimo gnębiących go ataków malarii i wiecznej pustki w kieszeni. W wywiadzie dla „Dziennika Poznańskiego” przyzna się później, że pełni podziwu dla jego wyczynu Brytyjczycy oferowali mu darmowy transport pierwszą klasą do Europy, on jednak odmówił.

– Ogarnął mnie lęk... – wspominał. – Kiedy pomyślałem, że mogę znaleźć się w czterech wypolerowanych ścianach kajuty, począłem sobie przypominać tony restauracyjnego jazzbandu, zamajaczyły mi przed oczyma sylwetki eleganckich panów i pań, wsiałem na rower i uciekłem.

Pośród pustkowi Afryki Południowo-Zachodniej rower rozlatuje się na części. Niespodziewana pomoc przychodzi wtedy ze strony mieszkającego w Gumuchab Polaka, Mieczysława Wiśniewskiego. Kazimierz Nowak otrzymuje od niego konia o imieniu Ryś i kupuje drugiego o imieniu Żbik. Ryś zostaje jego koniem wierzchowym, Żbika wymienia po paru dniach na Cowboya, którego czyni swym koniem bagażowym. Kolejnych 3000 kilometrów przemierza w siodle. Goszcząc na fazendzie hrabiego Zamoyskiego w Angoli, rozstaje się ze swymi czworonożnymi kompanami.

Pożyczonym od Zamoyskich rowerem osiąga rzekę Kassai. Tam postanawia z cyklisty i jeźdźca przeistoczyć się w żeglarza. Wykonanym na zamówienie czółnem tubylczym, ochrzczonym „Poznań I”, spławia się w dół niespokojnej, kapryśnej rzeki. W katastrofie na katarakcie Kaueue traci swój nowy środek transportu. Zmuszony pieszo przebyć setki kilometrów, dociera do Lulua, gdzie nabywa nową łódź, dostosowuje ją do swoich potrzeb i nazywa na cześć małżonki „Maryś”. We wrześniu 1935 roku w Leopoldville (obecnie Kinszasa w Demokratycznej Republice Konga) kończy dwumiesięczny okres samotnej żeglugi rzekami Lulua, Kassai i Kongo. Następny etap do jeziora Czad pokonuje znów rowerem. Władze Afryki Ekwatorialnej Francuskiej nie chcą zezwolić mu na samotną przeprawę przez Saharę, zalecając kontynuowanie podróży w towarzystwie karawany, z którą można zabrać odpowiedni zapas wody. Nowak nabywa wtedy dromadera, najmuje poganiacza i formuje własną karawanę. Kolejnych pięć miesięcy spędza na rozkołysanym grzbiecie dromadera Ueli, docierając w ten sposób do Uargla. Ostatnie 1000 kilometrów z Uargla do Algieru nad Morzem Śródziemnym przemierza rowerem. W listopadzie 1936 roku kończy liczącą przeszło czterdzieści tysięcy kilometrów podróż. Za ostatnie pieniądze kupuje ciepłe ubranie oraz bilet na prom do Marsylii. Stamtąd udaje się do Beaulieu koło St. Etienne, gdzie spędza dwa tygodnie w polskiej kolonii górniczej (którą odwiedzał już podczas wcześniejszej podróży po Europie).



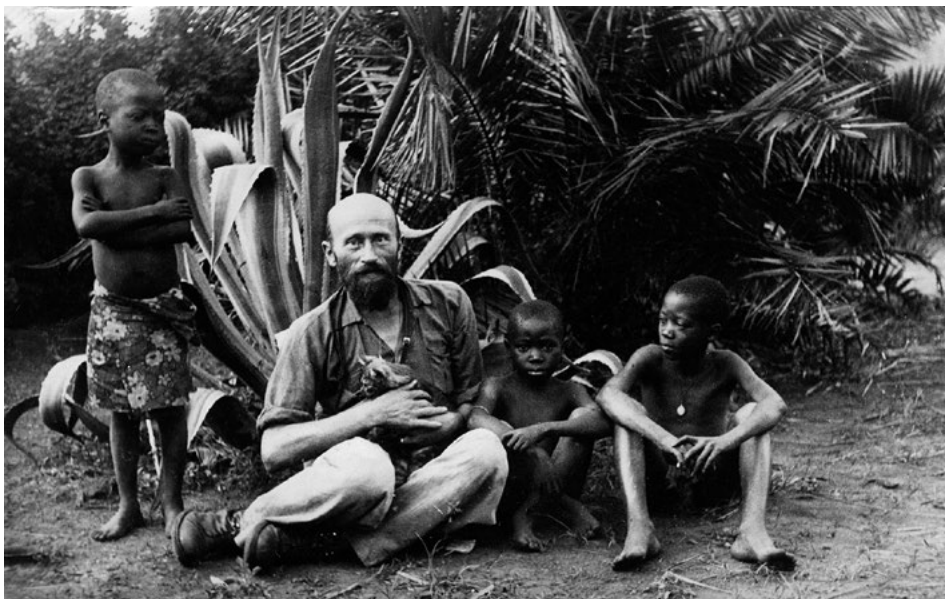
Pogrzeb Kazimierza Nowaka w Poznaniu w październiku 1937 roku

Bezsukutecznie usiłuje pozyskać pieniądze na bilet kolejowy i transport roweru do Polski sprzedażą zdjęć z Afryki oraz wykonywaniem fotografii górnikom. Udaje się do Paryża, gdzie załatwia formalności wizowe na przejazd przez Belgię i Niemcy. Dzięki pomocy żony i za poręczeniem fabryki opon Stomil otrzymuje od polskiego konsula pożyczkę w wysokości 750 franków.

W nocy z 22 na 23 grudnia 1936 roku w Zbąszyniu przekracza granicę niemiecko-polską. W Poznaniu pośród oczekujących oraz wysiadających z pociągu osób, w półmroku nieoświetlonego peronu rozpoznaje wyczekującą go gromadkę najbliższych.

Po powrocie do Poznania Kazimierz Nowak wygłasza w kinie Apollo odczyty poświęcone etnografii lądu afrykańskiego, wzbogacane pokazami fotografii. Z odczytami gości także w innych miastach, prezentuje relację ze swej podróży między innymi na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie. Planuje wydanie zebranych przez siebie materiałów w postaci książki i zamierza przedsięwziąć kolejną wyprawę, tym razem do Indii i Azji Południowo-Wschodniej. Niestety, tych pragnień już nie udaje mu się zrealizować. Jest wycieńczony częstymi nawrotami malarii, na domiar złego dostaje zapalenia okostnej lewej nogi. Przechodzi operację. Podczas pobytu w szpitalu nabawia się zapalenia płuc. W niespełna rok po powrocie do kraju, 13 października 1937 roku umiera.

Zostaje pochowany na cmentarzu Matki Boskiej Bolesnej na poznańskim Górczynie, w swym stroju podróżnym, z kaskiem kolonialnym złożonym na



Podróżnik w towarzystwie swych afrykańskich przyjaciół

piersi. Pośród bicia dzwonów kościoła przy ulicy Głogowskiej na czele orszaku pogrzebowego delegacja harcerska niesie sztandar Ligi Morskiej i Kolonialnej. Mój Dziadek wspominał, że zwolnił się tego dnia z pracy, by móc uczestniczyć w pożegnaniu wielkiego podróżnika.

Dnia 30 kwietnia 1939 roku w Publicznej Szkole Powszechnej nr 6 przy ul. Św. Marcin 35 (obecnie nr 65) otwarto wystawę zatytułowaną *Afryka mówi*, prezentującą pamiątki po Kazimierzu Nowaku. Dochód przeznaczono na wspomnienie wdowy po zmarłym podróżniku oraz na Fundusz Obrony Narodowej. Pozyskaniu pomocy materialnej dla Marii Nowak służyła również impreza kolarska dla uczczenia zasług Kazimierza Nowaka zorganizowana 19 lipca 1939 roku przez Klub Sportowy Stomil.

*

Można spytać, jaki pożytek dała Kazimierzowi Nowakowi jego szaleńcza podróż. Każdy dzień niósł nowe niebezpieczeństwa, udrękę głodu i pragnienia, bezlitosny skwar tropikalnego słońca, to znów ponure ulewy pory deszczowej. Można widzieć w nim dziwaka, który za pięć lat samotnej tułaczki zapłacił wysoką cenę rozłąki z rodziną, który powrócił do domu tak samo ubogi, jak wyruszył, a nękany chorobami postradał zdrowie i ostatecznie – w wieku lat czterdziestu – życie.

Można także, przyglądając się postaci na fotografii, ujrzeć człowieka, który pod afrykańskim niebem odnalazł ścieżkę własnego przeznaczenia. Jest szczę-

śliwy, gdyż dochował wierności swym marzeniom, zrodzonym – wspomina o tym w swych listach – w dzieciństwie podczas oglądania obrazków z egzotycznych krajów. Wie, że wykorzystał każdy swój oddech, każde uderzenie serca, by je ziścić.

Nie wszystkie z naszych marzeń wiążą się z miejscami tak odległymi jak Afryka. Czasem jednak najzwyczajniejsze z pragnień równie trudno jest zrealizować, jak te najbardziej zuchwałe. Zdany na siebie Kazimierz Nowak dopiął celu, pamiętał, że aby szczęśliwie powrócić do domu, nie może zmarnować żadnego dnia na lęk, gniew lub żal. I nie zmarnował. Im więcej trudności piętrzyło się na jego drodze, tym więcej znajdował w sobie odwagi i siły woli.

*

W wyniku prowadzonych przez kilka miesięcy poszukiwań dotarłem do ponad stu prasowych relacji, pochodzących z różnych etapów wędrowki Nowaka. Niestety, mimo podjętych starań, przed ukazaniem się pierwszego wydania książki nie udało mi się odnaleźć rodziny podróżnika i dotrzeć do materiałów źródłowych. Kolejnym etapem pracy było przepisanie listów, ułożenie ich w chronologicznym porządku oraz zredagowanie w taki sposób, by stanowiły jednolitą opowieść. Zadanie nie było łatwe. Na niektóre z rozdziałów niniejszej książki składają się fragmenty zaczerpnięte z kilku różnych reportaży Nowaka.

Wiedząc, iż odtworzona relacja zawiera luki, miałem zarazem świadomość, że oto mam przed sobą nie tylko fascynującą, spisaną pięknym literacko językiem historię, ale także unikatowy dokument szczegółowo opisujący Afrykę lat trzydziestych XX wieku, świadectwo nadludzkiego wyczynu oraz relację z jednej z najniezwyklejszych wypraw w historii eksploracji Czarnego Łądu.

W roku 2000 książka zatytułowana *Rowerem i pieszko przez Czarny Łąd*, wydana przez Wydawnictwo Sorus, trafiła do księgarń. Liczyła wówczas 150 stron. Na jej zakończenie zdecydowałem się dołączyć ujmujące wspomnienie autorstwa Tadeusza Perkitnego, poznańskiego obywatela, które ukazało się w prasie tuż po śmierci Kazimierza Nowaka. Wydawało mi się wówczas, że zadanie, do realizacji którego natchnęły mnie opowieści Dziadka, zostało wykonane. Myliłem się. Musiało po prostu minąć kolejnych sześć lat, by dwa egzemplarze książki trafiły w ręce osób, które pomogły historii potoczyć się dalej...

Na początku 2006 roku *Rowerem i pieszko przez Czarny Łąd* wziął do ręki Maciej Pastwa, podróżnik z Poznania. Maciej, poruszony lekturą, postanowił ufundować tablicę pamiątkową poświęconą Kazimierzowi Nowakowi.

Los zrządził, że w tym samym czasie do Wydawnictwa Sorus nadszedł serdeczny list podpisany przez Ryszarda Kapuścińskiego, zainspirowany lekturą reportaży Kazimierza Nowaka. Autor *Cesarza* wyraził w nim gorące życzenie, by książka *Rowerem i pieszko przez Czarny Łąd* „zajęła stałe miejsce na listach klasyki polskiego reportażu”.

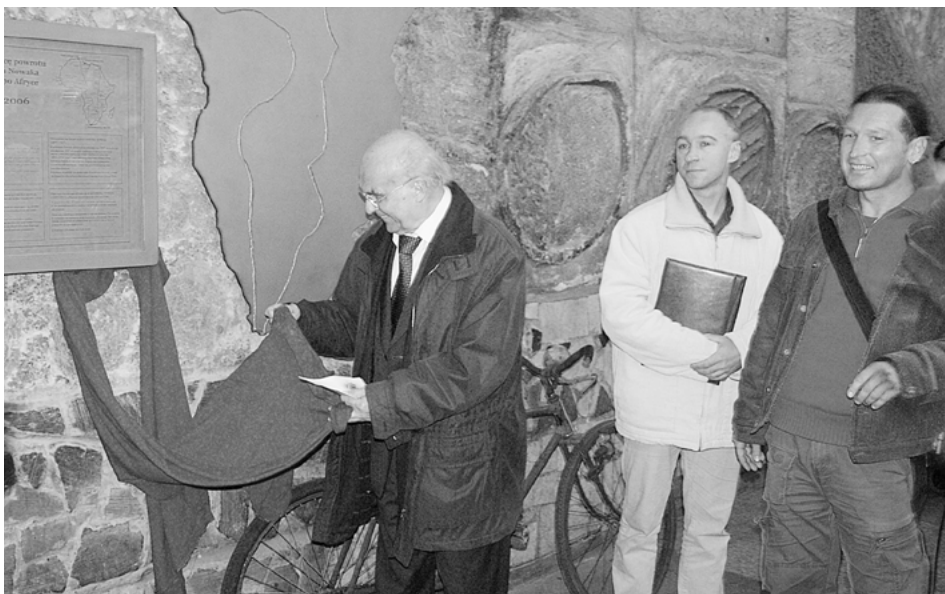
Maciej Pastwa oniemiał na widok listu sławnego pisarza. Jego marzeniem

było przecież, aby właśnie Ryszard Kapuściński odsłonił tablicę pamiątkową poświęconą Kazimierzowi Nowakowi. Wycięty w metalu kontur Afryki z naniesionym szlakiem podróży oraz tablicę z notką biograficzną w sześciu językach umieściliśmy w holu dworca Poznań Główny, czyli w miejscu, w którym Kazimierz Nowak rozpoczął i zakończył swą wyprawę. Ryszard Kapuściński przyjął nasze zaproszenie, przybył do Poznania i 25 listopada 2006 roku odsłonił tablicę. Wypowiedział wówczas słowa, które na zawsze zapisały się w mej pamięci:

„Wyczyn Kazimierza Nowaka zasługuje na to, by jego nazwisko znalazło się w słownikach i encyklopediach, by było wymieniane obok takich nazwisk, jak Stanley i Livingstone. Kazimierz Nowak był człowiekiem o ogromnej wyobraźni i ogromnej odwadze, człowiekiem nieustraszonym. Pokazał, że jeden biały człowiek, nieposiadający żadnego uzbrojenia, a jedynie wiarę w drugiego człowieka, może przebyć samotnie wielki kontynent, i to w czasach, gdy Europa zaczynała dopiero odkrywać Trzeci Świat. On uczył nas wtedy, w latach trzydziestych XX wieku, jak należy traktować Trzeci Świat i jego mieszkańców.

Tylko ktoś, kto zna te rejony, gdzie podróżował Kazimierz Nowak, i sposób, w jaki to zrobił, może docenić to bohaterstwo połączone z niezwykłą skromnością. On się nie chwalił, on po prostu opisywał, co widział”.

Tamtego dnia ku postaci Kazimierza Nowaka zwrócili się oczy wielu osób. Zrodził się pomysł, by jego imieniem nazwać skwer na poznańskim Łazarzu. Nieopodal, przy ulicy Lodowej 32/8 podróżnik mieszkał wraz z rodziną. Kolejna



Odsłonięcie tablicy pamiątkowej w listopadzie 2006 roku.

Od lewej: Ryszard Kapuściński, Łukasz Wierzbicki, Maciej Pastwa. Fot. D. Szmajda

tablica pamiątkowa w kształcie Afryki poświęcona Nowakowi stanęła wkrótce w Ogrodzie Tolerancji przy Muzeum – Pracowni Literackiej Arkadego Fiedlera w Puszczykowie.

Po obejrzeniu telewizyjnej relacji z uroczystości na poznańskim dworcu odezwała się rodzina wielkiego podróżnika. Irena Gołębiowska (bliska krewna Marii Nowakowej, żony Kazimierza) zaprosiła nas do Sułowa Wielkiego, gdzie pośród rodzinnych pamiątek przechowuje kilkadziesiąt niepublikowanych wcześniej fotografii wykonanych przez „wujka Kazia” w Afryce, opatrzonych własnoręcznym komentarzem autora. Od pani Ireny otrzymaliśmy kontakt do kolejnych członków rodziny Kazimierza Nowaka. Okazało się, że żona Nowaka Maria oraz córka Elżbieta, mimo wojennej zawieruchy i przeprowadzki w latach powojennych do Trójmiasta, przechowały wielką ilość pamiątek po podróżniku. Po śmierci Elżbiety materiałami tymi zaopiekował się jej mąż – Marian Gliszewski. Goszcząc w grudniu 2006 roku w jego domu, zapoznałem się ze zbiorem unikatowych zdjęć, wycinków z prasy afrykańskiej, listów do rodziny, a także kilkuset przedwojennych czasopism i gazet z tymi wszystkimi korespondencjami z Afryki, do których nie dotarłem podczas poszukiwań prowadzonych w bibliotekach. Dowiedziałem się ponadto, że Elżbieta Gliszewska, wspierana przez swego męża, pracowała w latach pięćdziesiątych nad wyborem reportaży ojca i wydaniem liczącej ponad 800 stron maszynopisu książki *Na przelaj przez Afrykę*. Niestety, książki tej nie udało się wówczas opublikować.

Raz jeszcze przystąpiłem do pracy nad redakcją książki *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*. Tym razem dysponowałem kompletnym materiałem źródłowym. Równocześnie rozpocząłem pracę nad bogato ilustrowaną książką zatytułowaną *Afryka Kazika*, w której zawarłem czterdzieści inspirowanych przygodami Kazimierza Nowaka opowiadań przeznaczonych dla najmłodszych czytelników. Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa BIS w lutym 2008 roku. Wspólnie z Wydawnictwem Sorus planujemy dalsze publikacje z archiwum poznańskiego podróżnika, w tym zbiory listów Nowaka do żony i syna.

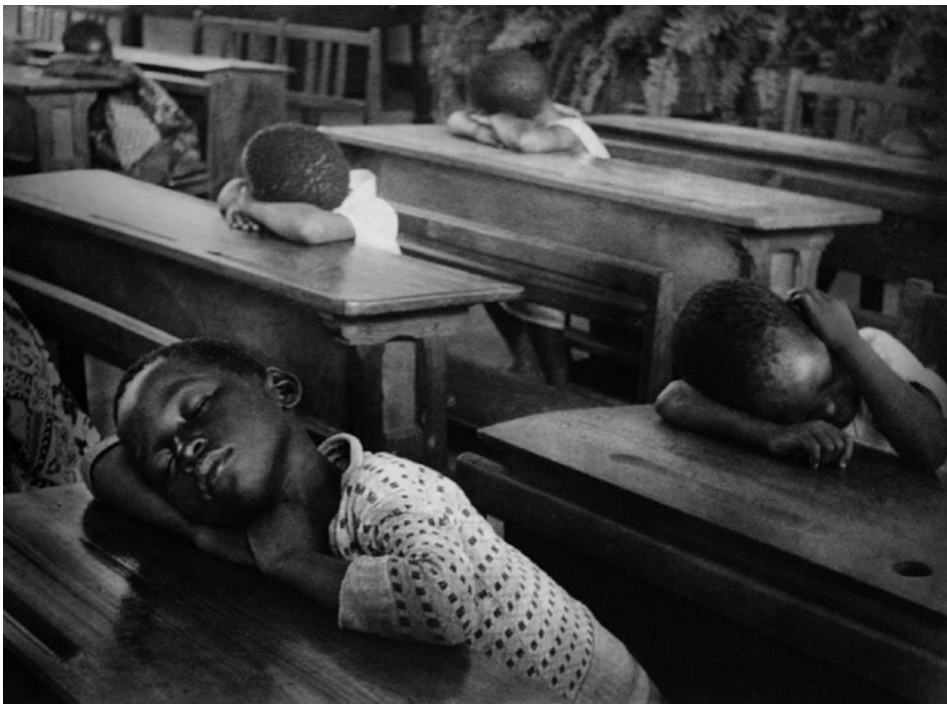
Szczególne podziękowania za inspirację i pomoc w zebraniu materiałów źródłowych należą się mojemu zmarłemu w roku 2002 Dziadkowi, Józefowi Wiśniewskiemu. Za udostępnienie archiwów wdzięczny jestem Marianowi Gliszewskiemu, Irenie Gołębiowskiej oraz Janinie Kielar, której dziadek był wujem Kazimierza Nowaka, i Beacie Nowak, której mąż był wnukiem podróżnika. Za serdeczność i pomoc w przygotowaniu wszystkich sześciu wydań książki dziękuję Wydawnictwu Sorus. Gorące podziękowania składam wszystkim osobom, które zaangażowały się w popularyzację historii Kazimierza Nowaka, w tym nade wszystko Maciejowi Pastwie oraz Ryszardowi Kapuścińskiemu, którego udział w odsłonięciu tablicy poświęconej Kazimierzowi Nowakowi stanowi dla mnie bezcenne i niezapomniane wspomnienie. Pracę włożoną w zrealizowanie książki dedykuję żonie Klaudii.

Fakt, że 70 lat po śmierci autora udało się spełnić jego własne marzenie i że do rąk Czytelników trafiła kompletna, wzbogacona o nigdy wcześniej niepublikowane zdjęcia książka *Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd*, stanowi dla mnie źródło olbrzymiej radości.

Kazimierz Nowak w ostatnich miesiącach zagościł w niezliczonych reportażach prasowych, radiowych i telewizyjnych, został bohaterem komiksu oraz postacią utrwalaną na koszulkach. Organizowane są wystawy jego fotografii. Dzieci z zapalem i fantazją wykonują prace plastyczne ilustrujące jego przygody, odgrywają scenki, w których polski cyklista przeżywa raz jeszcze swe afrykańskie perypetie. 15 maja 2009 roku Gimnazjum nr 5 – Gimnazjum Mistrzostwa Sportowego w Poznaniu, jako pierwsza szkoła w Polsce, otrzymało imię Kazimierza Nowaka.

W chwili, w której piszę niniejsze słowa, grupa rowerzystów z Polski przemierza Czarny Kontynent. To uczestnicy wyprawy śladem Kazimierza Nowaka, która wystartowała 4 listopada 2009 roku z Boruszyna, sprzed domu, w którym w 1931 roku mieszkali Nowakowie. Inicjatywa ochrzczona *Afryka Nowaka 2009-2011* przybrała formę sztafety, do tej pory wzięło w niej udział ponad sto osób z Polski, a także innych krajów.

Historia samotnika przemierzającego Czarny Łąd pobudza wyobraźnię, jej ciąg dalszy dopisują kolejni Czytelnicy niniejszej książki oraz mali Czytelnicy



Obowiązkowa godzina snu w szkole misyjnej w Elisabethville

Afryki Kazika. Dzieło Kazimierza Nowaka stanowi lekcję postrzegania świata z szacunkiem, życzliwością i zainteresowaniem, staje się inspiracją do planowania własnych wypraw, startem po przygodę dla kolejnych ciekawych świata podróżników.

Tak było w moim przypadku. Zainspirowana dziadkowymi opowieściami wycieczka do biblioteki okazała się początkiem jednej z największych przygód mego życia oraz natchnieniem do odbycia kilku podróży do Afryki. Każda z nich stanowiła próbę znalezienia odpowiedzi na pytania, do zadania których skłania lektura listów Kazimierza Nowaka.

Od czasu odbytej przez Nowaka podróży bardzo wiele zmieniło się na Czarnym Łądzie. Zgodnie z przewidywaniami polskiego podróżnika, a wbrew interesom mocarstw kolonialnych, narody Afryki upomniały się o niepodległość.

Los chciał, że w dążeniu do wolności dopomogła Afryce druga wojna światowa. Oto z jej frontów wracają do domu wcieleni do armii brytyjskiej i francuskiej czarnoskórzy żołnierze. Przynoszą z rozdartej i wyniszczonej Europy niesłychane wieści, a nade wszystko świadomość narodową, poczucie możliwości decydowania o własnym losie oraz chęć wyzwolenia się spod władzy białych. Nieśmiało początkowo iskierki buntu wzniecają pożogę na całym kontynencie. Za przykładem Ghany i Gwinei w samym tylko 1960 roku aż siedemnaście państw zyskuje niepodległość. Biegu historii nic już nie powstrzyma.

Niestety, krwawo nieraz okupiona niezależność nie przynosi krajom afrykańskim spokoju ani dobrobytu, rodzi natomiast nowe problemy. Granice państw – niejednokrotnie sztucznie nałożone na mozaikę plemion – stają się przyczyną wciąż nie zaleczonych konfliktów. Podatne na korupcję rządy elit oraz reżimy wojskowych nie potrafią zaradzić powszechnemu ubóstwu.

Biali formalnie przestają panować na kontynencie, ale kolonializm przybiera nowe, ekonomiczne wcielenie. Z dala od zatłoczonych ubogich ulic, za wysokimi żywopłotami znajdują się wciąż wytworne wille z podświetlanymi nocą basenami i restauracje, w których czarnoskórych kelnerów obowiązuje iście kolonialna etykieta.

Zapomnienie utrwalonych w poprzedniej epoce uprzedzeń przychodzi powoli. Mijają pokolenia. Synowie walczących w wojnach niepodległościowych mężczyzn sami zostają ojcami. Afryka budzi się, zaczyna dostrzegać swą szansę, magnetyzm niezniszczonej przez cywilizację natury staje się jej wielkim atutem. Monumentalna afrykańska przyroda, choć przetrzebiona i zapędzona strzelbami myśliwych do ciasnych parków narodowych, wciąż potrafi bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie urzec nieskrępowaniem i wolnością. Kuszeni filmami przyrodniczymi mieszkańcy bogatej Europy i Ameryki przybywają, by pośród wiatronogich antylop i kosmatych lwów, nim dumni powrócą do domowego zacisza, choć przez ulotną chwilę poczuć się częścią odwiecznych kręgów natury. Są mile widziani. Taksówki odbierają turystów z lotniska i rozwożą do luksusowych hoteli, gdzie oczekują przedstawiciele biur organizujących safari do parków narodowych. Można fotografować, a za odpowiednią opłatą strzelać.

Wszędzie przyjmuje się karty kredytowe.

Afryka rozwija się. To cieszy, a jednocześnie budzi sentyment i każe się śpieszyć. Kazimierz Nowak przebył rowerem trasę na przełaj przez Afrykę jako pierwszy na świecie i zarazem jako ostatni. Afryka Kazimierza Nowaka, jej przyroda, ludzie i zwyczaje przeminęły, odeszły w przeszłość. Z roku na rok odchodzi również ta obecna. Pośród gatunków zagrożonych wymarciem zapisujemy dzikiego ducha Czarnego Łądu.

Nie wszystko jednak stracone. Wystarczy zboczyć nieco z turystycznych szlaków i uważniej przyjrzeć się codziennemu życiu kontynentu, by odkryć, że wiele pozostało niezmiennym. Nocami tajemne duchy przodków wsłuchują się w niespokojne sny Afrykanów. Dni płyną tym samym leniwym tempem co przed dziesiątkami, setkami lat...

Rybacy wracają w swych czółnach z porannego połowu, wioząc rybę lub dwie, jeśli dzień był udany. Bose kobiety z przymocowanymi do pleców niemowlętami niosą na głowach naczynia z wodą i chrust, niezbędne do przyrządzenia posiłku. Wokół baobabu biega gromada radosnych dzieci, z których każde posiada jedynie majtki, koszulkę i własny kącik do spania w skleconej z chrustu chacie. Mężczyźni w upalne dni chronią się w cieniu akacji, wieczorem zaś spotykają przy piwie i rozprawiają z zaaferowaniem o sprawach, o których nazajutrz nie będą już pamiętać, a Polska jest dla nich daleko bardziej odległa i egzotyczna niż dla Polaków Afryka.

Gdy wspominam spontaniczną serdeczność murzyńskich kobiet i mężczyzn, obsypane kwiatami jacarandy, karmienie dzikich orłów rybami rzucanymi na zielonobłękitną powierzchnię jeziora, gdy przywołuję w pamięci szczekanie hien zwołujących się na łów w środku nocy, szum wieczornego wiatru pośród smoczyc sylwetek skał, pokrzykiwania pawianów w pachnących ziołami bezludnych górach, wydaje mi się, że aby zrozumieć magię tamtych stron, trzeba samemu doświadczyć tego czarodziejskiego „afrykańskiego wirusa”, którego ofiarą padł przed osiemdziesięciu laty Kazimierz Nowak, a który sprawia, iż opuszczając Afrykę, trzeba sobie obiecać, że się powróci, gdyż w przeciwnym razie zbyt ciężko byłoby się z nią rozstawać.

Lukasz Wierzbicki

Borówiec, w maju 1999, wrześniu 2007, czerwcu 2009, lutym 2011 roku i lutym 2013 roku

PROLOG

Powróciłem z Afryki po pięciu latach i dokładnie czterech tygodniach pobytu na tym kontynencie. Skończyła się moja afrykańska podróż, ale nie skończyła się dla mnie Afryka. Fizycznie jestem poza nią, lecz żyje ona wciąż jeszcze we mnie i zapewne żyć będzie długo. Nie zatarło się żadne ze wspomnień – wystarczy sięgnąć do małego notesu podróżnego, w którym opisywałem dzień za dniem, notowałem zdarzenie za zdarzeniem, aby wszystkie obrazy ożyły na nowo.

Przed pierwszym lądowaniem na ziemi afrykańskiej w 1927 roku poznałem całą masę dzieł traktujących o koloniach, wydanych w językach mocarnych narodów, których dumą były te odległe zamorskie kraje z trzepoczącymi ponad nimi różnobarwnymi chorągwiami.

Pierwsza podróż przez północną Afrykę otworzyła przede mną nowe horyzonty, rozbudziła nowe pragnienia i przyznam się szczerze, zazdrościłem wówczas Francuzom oraz innym narodom ich zamorskich posiadłości.

Ze względów finansowych musiałem opuścić wtedy Afrykę, wyjeżdżałem jednak z silnym postanowieniem, że wrócę i że poznam nie tylko obszar nad Morzem Śródziemnym, ale całą jej tajemną głębię.

Czytałem znowu. Geografia, ludoznawstwo, książki pisane przez byłych żołnierzy, myśliwych, urzędników, statystyki rojące się od druzgocących dowodów liczbowych na to, że kolonie to cenne diamenty w koronach europejskich władców. Były piękne, grube, pełne ciekawych obrazków.

Przeczytałem wszystko, co tylko było mi dostępne, po czym w roku 1931 powróciłem na Czarny Ląd i ruszyłem w jego głąb swym własnym szlakiem. Oto jednak, w miarę zagłębiania się w kontynent, odkrywałem co dzień inną Afrykę – biedną i chorą, szarą, czarną, brudną bez granic.

Odkrywałem smętną prawdę, a wyraz, który budził we mnie kiedyś zazdrość, wywołujący uczucie dumy u narodów europejskich, zrodził w mojej duszy, uzasadniony zupełnie, wstręt do treści zawartej w słowie „kolonia”.

Na ogół są dwie Afryki: jedna na pokaz, druga zaś niedostępna dla ogółu, o której żaden podróżnik nie pisze, choćby ze względu na to, że aby ją poznać, trzeba się wypocić, zaznać głodu i pragnienia, ryzykować zdrowie i życie.

Poruszanie się pieszo, na rowerze, konno, łodzią i wielbłędami dało mi możliwość omijania dróg turystycznych, będących pewnego rodzaju wystawą, na której znajdzie się tylko to, czym wystawca pragnie przybyśza oczarować.

Znam Algier, Tunis, Kair, Johannesburg, Kapsztad, Brazzaville... trudno wręcz wyliczyć te wysepki cywilizacji rzucone na oceany puszcz i pustyni Afryki. Mimo że zahaczałem o nie w swej wędrówce, nie były one celem mej podróży. Obierałem przeważnie szlaki najmniej uczęszczane i najdziksze. Trasa moja biegła przez kraje zupełnie bezdrożne, poprzez pustki i bezludzia. Widziałem Afrykę, która, mimo wielu dzieł napisanych o niej, jest lądem prawie zupełnie nieznanym jeszcze, niczym tajemniczy Sfinks. Postanowiłem zajrzeć za spowijającą twarz tego czarnego Sfinksa zasłonę i mam wrażenie, że mi się to po części udało, a com odsłonił z tajemniczego oblicza, Czytelnikom ukazuję.

CZEŚĆ PIERWSZA





LIBIA

26.11.1931 – 21.06.1932





TRYPOLIS, POCZĄTEK AFRYKAŃSKIEJ PRZYGODY

W pierwszych dniach listopada 1931 roku wyruszyłem z Poznania w podróż do Afryki. Wyprawa taka jest oczywiście bardzo kosztowna, dlatego – nie mając pieniędzy – postanowiłem odbyć ją rowerem. Cały mój kapitał składał się z kilkunastu złotych, pióra, aparatu fotograficznego, roweru i sporej ilości silnej woli. Zdawałem sobie sprawę, że przedsięwzięcie jest nie tyle śmiałe, co szalone, chęć poznania Afryki była jednak zbyt wielka, bym mógł się jej oprzeć.

Odcinek do Italii przebyłem pociągiem, docierając do Rzymu wczesnym rankiem. Kiedy odprawę celną miałem już za sobą, rozpocząłem poszukiwania kwatery. W Rzymie sprawa ta nie jest prosta, zwłaszcza gdy nie zna się miasta i ma pustkę w kieszeni. Przypomniały mi się jednak moje chłopięce lata, kiedy to znalazłem się sam we Włoszech i poradziłem sobie znakomicie, jakkolwiek nie miałem wtedy więcej niż piętnaście lat. Wiedziałem, że nie wolno mi poddać się zniechęceniu – i rzeczywiście, spotkałem brata Andrzeja, zakonnika, którego przed laty poznałem w Turcji. Zaprowadził mnie do swego klasztoru, gdzie oddano mi na kwatere cichą jasną celę z przepysznym widokiem na kopułę Bazyliki św. Piotra. Spałem w tej izdebce wybornie aż do chwili, kiedy zbudził mnie koncert niezliczonych dzwonów. Świtało.

Różne nieprzewidziane sprawy na osiem dni zatrzymały mnie w Rzymie. Całe osiem dni straciłem na pielgrzymkę od biura do biura po ulicach śliskich od ulewnego deszczu. Ciągłe lało jak z cebra i zdawało się, że świat cały zamienił się w szarą zasnutą mgłą przestrzeń, w której co chwila rozlegały się przerażliwe ryki klaksonów samochodowych. Wreszcie udało mi się Rzym opuścić i po trzydniowej podróży rowerem dotarłem do Neapolu, gdzie szczęśliwie znalazłem statek, którym mogłem przepłynąć przez Morze Śródziemne.

Podróż morską nie służyła mi. Chorowałem, nie mogłem powstać z koi, mowy nie było o jedzeniu, nawet papieros wzbudzał we mnie wstręt! Gdy przycumowaliśmy w porcie La Valetta na Malcie, natychmiast skorzystałem ze sposobności i czmychnąłem ze statku. Siadłem na tarasie kawiarni położonej wysoko nad portem i popijałem doskonałą herbatę, gdy zaś spoglądałem

w dół na morze i statek kołyszący się na modrych falach, natychmiast żołądek podchodził mi do gardła.

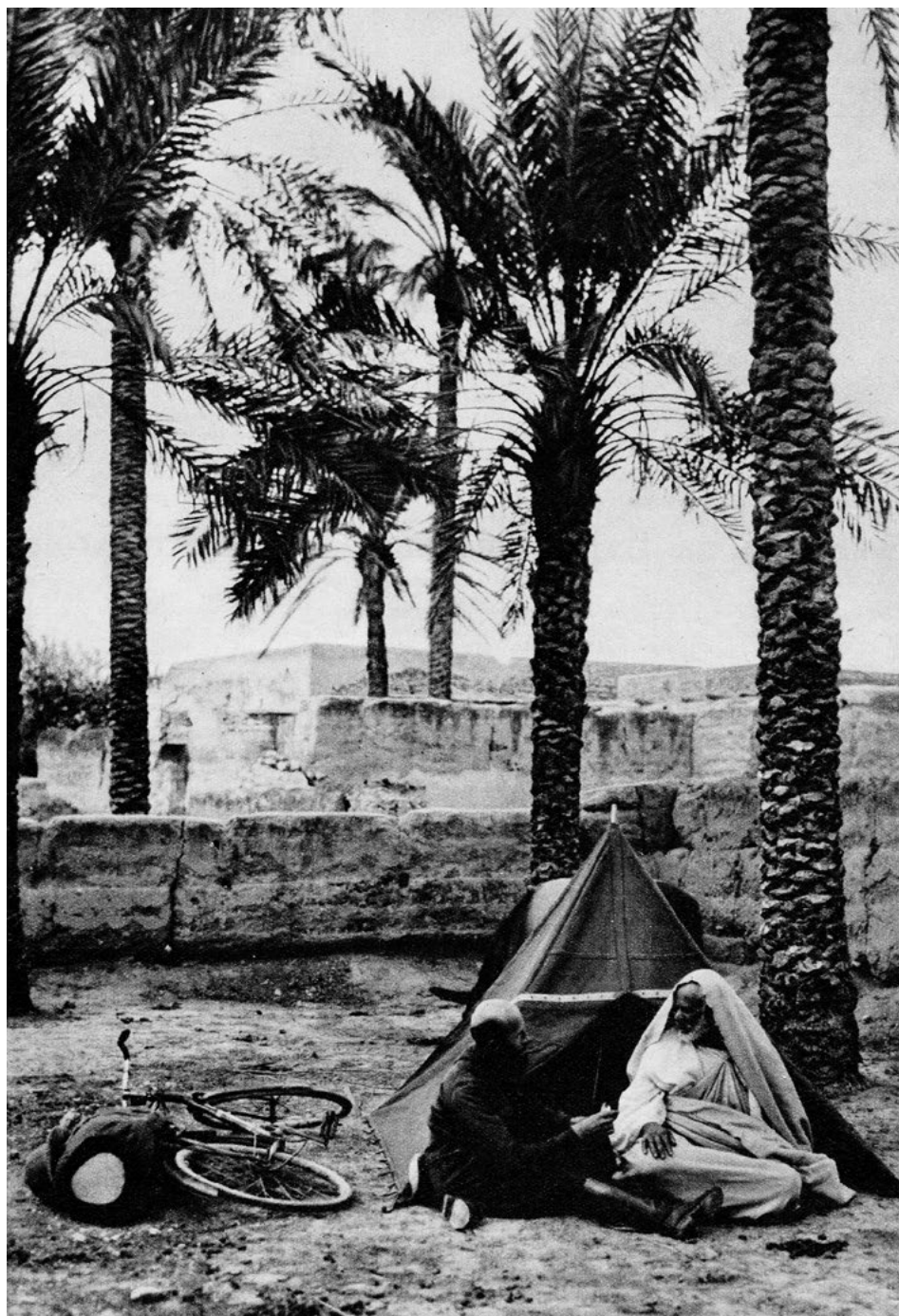
La Valetta to miasto niezmiernie oryginalne, po którego ulicach, będących po prostu ciągami schodów, wałęsają się stada kóz. Na żądanie przechodnia właściciel doi swe kozy na poczekaniu, w każdej więc chwili można dostać mleko świeże i jeszcze ciepłe. W porcie kołyszą się barki podobne do weneckich gondoli i niczym roje motyli krążą wokół okrętów. Taką właśnie barką dobiłem do brzegu wyspy, by na niej znaleźć wytchnienie przed dalszą podróżą morską, mającą zakończyć się nazajutrz w... Afryce!

Do Trypolisu przybyłem rano i od razu zmuszony byłem biegać po urzędach, gdzie za transport roweru kazano mi zapłacić 50 lirów, co wynosiło prawie 25 złotych, a następnie zażądano jeszcze opłaty celnej! Długo musiałem przekonywać urzędników, że rower mój jest starym gratem od lat używanym, nim przepuszczono maszynę bez cła.

Trypolis jest pięknym, nowoczesnym miastem zbudowanym w miejscu, gdzie przed dwudziestu jeszcze laty istniała jedynie mała brudna miejscina. Miasto rozbudowuje się z rozmachem, ale te nowe dzielnice nie pociągają ani stylem, ani malowniczością, dlatego skierowałem swe kroki ku starej części, pełnej wąskich uliczek, splątanych w labirynt, po którym godzinami można błądzić. Pełno tu meczetów, składów, pracowni, nieopisany zgłęb i gwar, tłumy Arabów, Arabo-Berberów, Żydów i potomków dawnych niewolników – Murzynów o dużej domieszce krwi arabskiej. Od czasu do czasu chyłkiem przemknie kobieta arabska spoglądająca ciekawie zza zasłony jednym tylko okiem lub majestatycznym krokiem przejdzie strojna otyła Żydówka obwieszona złotem. Wszędzie mnóstwo dzieci tubylczych, obdartych, brudnych, półnagich. Krzyczą, grają w soldy, żebrzą, kradną, zależnie od tego, do czego mają wrodzony pociąg i do czego zmusza je życie. Ale i w tej części miasta mieszczą się niepozorne z zewnątrz bogate pałace, w których za zakratowanymi oknami mieszkanki haremów pędzą beztróskie życie w przepysznym urządzonej izbach.

Przechadzając się krętymi uliczkami, ujrzałem na jednym z domów osobliwy napis „Fratelli Gadziński”. Nie namyślając się długo, przekroczyłem bramę. Na wielkim dziedzińcu piętrzyły się stosy skrzyń z towarami z całego świata. Jakiś Arab wyszedł naprzeciw, wprowadził do środka i niebawem już gawędziłem z sympatycznym Polakiem urodzonym tu, w Trypolisie. Przy dobrej czarnej podanej na sposób turecki minęło nam kilka godzin na miłej pogawędce. Niestety porozumiewać mogliśmy się tylko w języku włoskim. Niejednokrotnie w oku siwego już jegomościa błysnęła łza, gdy oglądał zdjęcia z Polski, gdy opowiadałem o kraju, do którego tęsknił, choć znał go jedynie z opowiadań ojca, powstańca z 1863 roku, którego los tułaczy rzucił tu, do tureckiej jeszcze w tamtych latach Trypolitanii.

Nocowałem nad brzegiem morza w namiocie rozbitym w pewnym oddaleniu od miasta. Było ciepło, spokojnie i chociaż północ dawno już minęła,



Nocowałem w namiocie rozbitym w pewnym oddaleniu od miasta

siedziałem bez ruchu, rozkoszując się cudowną nocą afrykańską. Z jednej strony rozpościerał się bezmiar Morza Śródziemnego, z drugiej bielily w poświacie księżycy domki Arabów zamieszkujących Sugh El-Giumaa. Chciwie łowiłem uchem monotony szum morza, szelest pióropuszy liści upiętych na wierzchołkach palm, odgłosy dochodzące z odległego miasta, gwar pobliskiego obozu koczowników przybyłych z głębi kraju na piątkowy targ. Wśród ognisk obozowych uwijały się postaci odziane w białe wełniane szaty, widać było sylwetki osiołków i jednogarbnych wielbłądów. Aromat palonych kadzideł, zmieszany z wonią pieczonej baraniny przyprawionej obficie czosnkiem i korzeniami, drażnił powonienie. Z czasem wszystko ucichło, zasnęło, dogasło.

Lekki wiatr wypełnił powietrze słonawym zapachem morza, przeniknął do wnętrza namiotu i zakołysał płomieniem świecy, przypominając, że w podróży notesie zapisać trzeba przeżycia dnia minionego. A tych było sporo! Najważniejsze, że udało mi się uzyskać specjalne pozwolenie gubernatora Trypolitanii, generała J.E. Pietro Badaglio, dające mi możliwość nieskrępowanego podróżowania po tym ogromnym pustynnym kraju. Dowiedziałem się również, że radiotelegramy zawiadomiły wszystkie komendy wojskowe o mojej wyprawie, dodając równocześnie, że *pubblicista Polacco* jest gościem Trypolitanii i winien być przez władze wojskowe i administracyjne odpowiednio traktowany.

Dokumenty podpisane przez gubernatora leżały przede mną i były jakby drogowskazem skierowanym w dal – ciekawą, wabiącą, ale niepokojącą, pełną rozlicznych niebezpieczeństw i trudów. Ogarnął mnie lęk i zrodziło się pytanie, czy olbrzymią przestrzeń wielu tysięcy kilometrów zdołam przebyć zwykłym rowerem.

Mój nieodłączny przyjaciel, druh serdeczny, cichy, spokojny, w każdej chwili gotów do pomocy, stał w drugiej części namiotu. Żałowałem, że jest jedynie rowerem i nie potrafi mówić. Odniosłem zarazem wrażenie, że gdy los złączy nas nierozzerwalnie na wiele lat z rzeczą, rzecz ta przestaje być przedmiotem martwym i wydaje się nam, że żyje, myśli i odczuwa.

2

MODLITWA PUSTYNI

Rankiem 30 listopada 1931 roku z bijącym od niepewności jutra sercem opuszczałem rozszepstany szmaragdową falą Morza Śródziemnego Trypolis. Miałem wówczas wrażenie, jakie mieć może jedynie kapitan statku, który

odbija od brzegu, kierując się w stronę przeciwległego wybrzeża oceanu, mimo że nie rozporządza ani żaglami, ani nawet sterem czy żaglami...

Nadmorski pas Trypolitanii budził się do życia po kończącej się właśnie wojnie, zazieleniał ogrodami. Miliony drzew szeleściły liśćmi, wiodły piękne asfaltowe drogi, a cały szereg studni towarzyszył spragnionemu turyście. W szkole usłyszeć można było *Giovinezze*, śpiewaną przez dzieciarnię tak samo poprawnie, jak to czynią dzieci rzymian czy neapolitańczyków.

Podziwiałem rozmach i twórczość ludu italskiego, jego chęć czynu. Patrząc na ten pas pobrzeża, zrozumiałem, dlaczego Mussolini stara się o zwiększenie ludności Włoch, dlaczego w Italii premiuje się dzieci i całym szeregiem praw chroni się rodziny liczne. Tu bowiem zakłada się drugą, zamorską Italię, ogród i spichlerz tamtej europejskiej.

Medal, który należy się zdobywcom Trypolitanii i Cyrenajki, ma jednak dwie strony, a druga z nich jest ciemna i ponura jak krew. Tubylcy, gdy ich spytać o obecny stan rzeczy, są zadowoleni, ci niezadowoleni bowiem nie mają już głosu. Zasłali szkieletami Góry Czerwone oraz okoliczne pustynie i stepy podczas krwawej wojny minionych lat. Ocalali z rzezi wojennej Beduini pracują dziś karnie przy budowie szos, szkół czy szpitali, nocą zaś bagnety zdobywców do obozowiska ich zapędzają, gdzie wokół zasieków z drutów kolczastych patroli czarnych żołnierzy maszerują i w każdej chwili gotowe do strzału karabiny pobłyskują w świetle księżyca.

Podróż przez tę nadmorską Trypolitanię to prawdziwy spacer. Rower gna po gładkim asfalcie aż do Bu Gheilau, małej oazy leżącej u stóp stromo piętrzących się skał jedyne łańcucha górskiego Trypolitanii. Góry te zwą się Gebel Nefusa i biegną półkolem od zatoki Wielkiej Syrty aż do granicy Tunisu. Mimo że najwyższy szczyt tych gór Ras Gharian sięga zaledwie 840 metrów ponad poziom morza, klimat jest tu okropnie ostry. Żadne wichry nie ominą tych gór, a drzewa zaledwie w niedostępnych jarach wyschłych rzek rosnać mogą swobodnie.

Wspinałem się drogą prowadzącą w górę, odpoczywając często nie tylko dla wytchnienia, ale i napawania się krajobrazem. Stojąc na tych urwiskach i spoglądając na północ, ma się przed sobą panoramę rozciągającą się na przestrzeni przeszło sześćdziesięciu kilometrów. U stóp góry mała, urokliwa oaza, dalej bezkresny step, za nim miasteczko Azizia przytulone do samotnie w stepie sterczącej skały, za nim zieleń ogrodów Trypolis, biel zabudowań stolicy i portu, a hen na horyzoncie siny bezmiar morza!

Góra ta nie pozostanie jednak dziką i bezpłodną. W przyszłości staną tu hotele i domy wypoczynkowe otoczone ogrodami posadzonymi na nawiezionej ziemi, będzie to jeden z piękniejszych zakątków świata. Już dzisiaj rozpoczęto wstępne prace, a huk rozsadzanych dynamitem skał płoszy olbrzymie orły skalne, które krążą nad urwiskami w poszukiwaniu spokojnych kryjówek. Być może gdy huk ustanie, wróćą do swych dawnych gniazd uwitych w niedostępnych turniach i spokojnie krążyć będą nad białymi pałacami hotelowymi.

Z całej drogi od Trypolisu najciekawszy jest Fort Nalut ze swym miastem Berberów – podziemnym, niewidocznym prawie, nad którym góruje stary, ponad pięciowiekowy zamek. Oryginalny brakiem stylu, budowany przez setki rodzin komórka nad komórką, wysoko strzelający w niebiosa, okien pozbawiony. Warowny ten spichlerz służy do przechowywania zapasów jęczmienia, traw, daktyli i oliwy oraz sprzętów i dobytku okolicznych Berberów. W razie napadu szczerpów arabskich berberyjskie rodziny wraz z całym swym inwentarzem kryły się w tej twierdzy i mogły przetrwać długie nawet oblężenie, posiadając zapas wody, paliwa, żywności i wszystkiego, co do życia potrzebne, w razie ataku rzucając kamieniami z góry i odganiając napastników.

Od Fort Nalut zaczęła się prawdziwa kamienna pustynia, gdzieś tylko porośnięta ciernistymi krzewami. Są one błogosławieństwem dla podróżnika, dają mu bowiem opał w nocie spędzane pod namiotem. Etapy tutaj były dłuższe, toteż rower mój obładowany był niczym wielbłąd. Musiałem przecież zabierać ze sobą zapasy żywności i wody. Ale jakiej wody!? Od dwóch tygodni piję sól! Wszystko słone – i herbata, i kawa, nawet piaski, które pustynny wichur rzuca mi w twarz solą osiadają na wargach.

Minąłem małą oazę Sinauen, leżącą poniżej poziomu morza. Za kilka zrobionych tu zdjęć mogłem kupić trochę kaszy, cukru i herbaty, zapas wody uzupełniłem zaś w Bir Tifist, obozowisku Arabów sprowadzonych do budowy drogi.

Droga była ciężka, wyboista, zawałona ostrymi kamieniami, a więc zupełnie nie nadawała się do jazdy rowerem. Nawet prowadzenie obładowanej maszyny sprawiało wiele trudności. Najgorsze jednak były mroźne noce,



Minąłem małą oazę Sinauen, leżącą poniżej poziomu morza. Za kilka zrobionych tu zdjęć mogłem kupić trochę kaszy, cukru i herbaty



Ze szczytu góry widzę nowe wzniesienie i tak bez końca

kiedy trzeba było rozbić namiot na gruncie wilgotnym, kamienistym. Praca to wyjątkowo żmudna, ale namiot chronił przynajmniej przed przenikliwym mroźnym wichrem, można też było w nim zagotować herbatę na rozżarzonych węglkach.

Noce nie były oczywiście spokojne, spędzałem je więc na poły śpiąc, na poły czuwając. Często gdzieś w dali rozlegało się potępieńcze wycie hieny-trupojada, czasem spłoszony kruk zakrakał złowieszczo lub zahukała sowa żerująca w rozpadlinie. Często stokrotnym echem powtarzało się wśród urwisk poszczekiwanie szakali, których hordy włóczą się po stepie. Zmęczenie jednak robiło swoje, mimo groźnych odgłosów zasypiałem, chociaż był to tylko półsen. Dygotałem z zimna i z utęsknieniem oczekiwałem poranka. Czasem budził mnie chłód lub jakieś małe zwierzątko, które z uporem wspinało się na mnie, pragnąc umościć sobie we mnie wygodne i ciepłe legowisko.

Skostniały wychodziłem rano z siekierą na poszukiwanie drzewa, by zagrzać się przy ognisku i roztopić zmarzniętą na lód wodę i ugotować herbatę. Woda, przesiąknięta zapachem skórzanej *girby*, cuchnęła okropnie, ale cóż było robić? Na pustyni i taka herbata może smakować jak nektar!

Pewnej nocy obudziłem się skostniały z zimna i ze zdziwieniem spostrzegłem migocące w górze gwiazdy, choć przecież położyłem się na spoczynek w namiocie. Okazało się, że wicher zerwał go mimo trzydziestu sześciu kołków,

które wbilem głęboko w ziemię. Targany wichurą błdziłem długo w ciemnościach, nim odszukałem zgubę, zaplątaną w cierniste krzewy. Z trudem udało mi się namiot na powrót ustawić i rozniecić ogień, by resztę nocy spędzić na wsłuchiwaniu się w ponury rozhovor stepu.

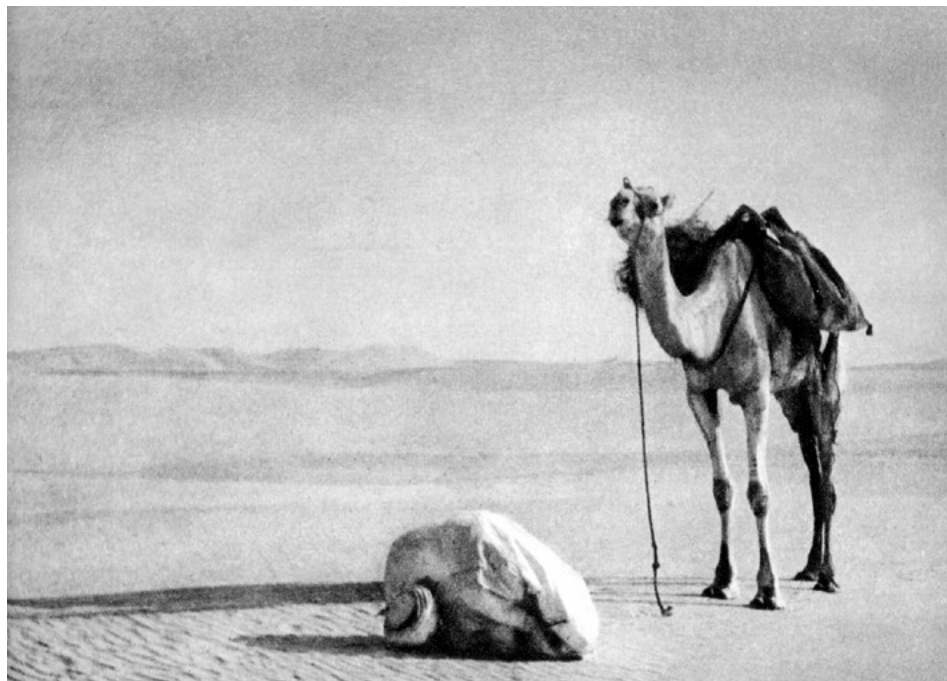
Gdy wreszcie słońce wyjrzało leniwie zza mgieł, wiatr, nie zmieniając kierunku ani siły, przeszedł w upalny, suchy, gorący wiew pustynny. Równocześnie pojawiły się nieprzeliczone roje much, które pokryły twarz, ręce i ubranie.

Dnie stawały się coraz bardziej upalne. Jechałem okolicą nieciekawą, monotonną, przedziwnie cichą. Tylko gdy wicher poczynał hulać po wydmach i skalistych wertepach, zaczynało się piekło. Przerażliwy świst i potępieńcze wycie wypłaszało z legowisk jedynych mieszkańców tych pustkowi: gazele, hieny i szakale. Gazele nie były tu zresztą liczne, a umykały tak szybko, że wzrok z trudnością chwycił ich śmigłe sylwetki. Te śliczne, ręczne stworzenia stały się dla mnie promykiem radości w tej krainie, w której próżno szukało się życia.

Miejscami widać koczujące szczepy, które na los szczęścia zasiały jęczmień na wybranych pod uprawę kawałkach stepu i jak zbawienia oczekują deszczu. Czarne żony koczowników obnoszą po polach upięte na drewnianym krzyżu szaty, by w ten sposób uprosić dobre duchy o życiodajny dla posianego ziarna deszcz. Deszcze są w tych stronach rzadkością. Zdarza się, że przez pięć lat nie spadnie nawet kropla i biedny koczujący w rozpadlinach Beduin daremnie sypie ziarna jęczmienia w step zaorany drewnianą sochą, a potem kornie bije czołem pięć razy dziennie o twardą ziemię i wyprasza deszcz u Allacha. A jeśli z braku wilgoci ziarno nie wszędzie, wyszukuje w stepie jadalne korzenie traw i stara się dzięki nim utrzymać przy życiu. A jeśli braknie jadalnych korzeni i umrze, sąsiedzi pochowają go w płytkim grobie, przywalą kamieniami i wrócą spokojnie do swych zmarwień. W nocy na grób przyjdą hieny, rozkopiają, wyciągną nędzne zwłoki i sprawią sobie ucztę – nieobfitą co prawda, ale hieny nie są wymagające. Pozostałym jeszcze na kościach mięsem pożywią się kruki, resztę zaś oczyszczą mrówki i inne owady. W końcu na stepie pozostanie czysty, słońcem wybielony szkielet. Wiatry go zaciągną w szczeliny skał, pustynny piasek pokryje sypkim całunem... i tak w kółko od wielu, wielu pokoleń.

Ze skał, które pod działaniem temperatury pękają, proszą, wiatr góry sypie inne, góry lotne, które z czasem skrzepną i staną się skałami piaskowca. Tu wszystko biegnie swymi pustynnymi ścieżkami przeznaczenia.

Noce chłodne, więc włóczęga bezpiecznie kładzie się tuż obok jadowitej żmii i śpi spokojnie, a rankiem, gdy chłód największy, podróżny posiłek przyrządza. Gdy odejdzie, pożywi się odpadkami przez niego pozostawionymi mysz pustynna, którą następnie żmija zjada. Tę znów pochwyci i pożre orzeł pustynny. Jego zaś jaja nie raz od głodu ratują podróżnego. Wszystko żyje, umiera i znów się odradza.



Padła na kolana i korne słowa pieśni do Allacha płynęły z piersi biedaka – koczownika

Dni znojne, trud nie do opisania. Rower brnie głęboko w lotnym piasku, to znów trzeba go ciągnąć poprzez skaliste gruzowiska. Ze szczytu góry widzę nowe wzniesienie i tak bez końca. Zda się wszystko stoi w miejscu, choć pokonuję przestrzeń. Zapas wody mały. Przewodnikiem słońce.

Skwar taki, że tchu brak w piersi. Wicher upalny, niczym podmuch z pieca piekarskiego. Unoszony przez wiatr piasek na kształt płomieni spaceruje po skraju niebotycznej wydmy. W rozkołysanym przez lejący się z nieba piekielny żar powietrzu wszelkie kształty łamią się i zacierają.

Po trudnych dniach marszu czy jazdy rowerem nadchodzą jednak czarowne noce afrykańskie, gdy kąpiąc się w świetle gwiazd i księżycy, sił zaczerpnąć mogą.

Gdy zbliża się wieczór, rozniecam wesołe ognisko z krzewów cierniowych, które mile wonieje. Gotuje się przysmak Tuaregów – *ejsz* (mąka gotowana zaprawiona czosnkiem, papryką i oliwą), przyrządzam herbatę, która tu jest wprost boskim napojem, a zarazem lekiem. Usnąć trudno, choć zmęczenie obezwładnia.

Ma się wtedy wrażenie władcy, wszystko bowiem, co wokół się roztacza, to własność, to jakby królestwo niepodzielnie własne.

Horyzont rozedrgany mirażem staje się coraz mniej wyraźny, każdy szczegół terenu uwypukla się cieniem. W końcu gaśnie słońce. Łuna zmierzchu złoci piaski.

Oto obóz niecodzienny na Saharze, a może nawet jedyny w jej historii – rower i polski Beduin, a wokół w promieniu tysiąca kilometrów nic, tylko pustynia i pustynia.

Wśród niebotycznych gór lotnego piasku Sahary czy też na wyschłych dnach gigantycznych jezior taka nirwana głuchoj ciszy panuje, że słyhać, jak krew bulgoce w sercu, jak się przelewa w żyłach, słyhać osuwający się miał piasku z okolicznych wydmy.

Chwila, a potem ożywa cud nocy pustynnej. Pustynia zaczyna swą wieczorną modlitwę. Jej hymn płynie poprzez wydmy i niebotyczne góry, poprzez przeraźliwe płaskie *serir*, nieskończenie zda się długie *uadi* o stromych brzegach i w cały świat płynie. Każdy kamień, najdrobniejsze ziarnko piasku modli się. Wystarczy przyłożyć ucho do martwego zda się głazu, do garści złotego pyłu przybliżyć ucho – i słyhać najwyraźniej szept cichy, pokorny...

Tuareg – syn Sahary, człowiek niewykształcony, którego świat cywilizowany nie uważa nawet za człowieka, w nocie saharijskie mówił do mnie: „Słyszysz – pustynia się modli...”, a potem, umywszy piaskiem, który tu wodę zastępuje, ręce i Koranem przepisane części ciała, padał na kolana i korne słowa pieśni do Allacha płynęły z piersi biedaka – koczownika.

I zda się wtedy, że słyhać rozkołysane serca dzwonów, których echo idzie poprzez świat cały, tam z kościółka, w którym modliłem się tak często. I w ciszę pustyni pobiegły słowa nauczonej przez matkę modlitwy. Jest niedziela i tu, wśród obcej pustynnej krainy, po polsku na głos modli się włoścęga. Modliłem się i ja, i piasek, i głazy.

3

PIERWSZY ROWER U BRAM SAHARY

Wczesnym rankiem 24 grudnia ujrzałem wreszcie siną plamę na tle kamienistej pustyni. Dotarłem do oazy Gadames. Rower mój wzbudził niebywałą sensację, był to bowiem pierwszy rower, który dotarł do „Bram Sahary”! Aby dostać się tu, do progu straszliwej piaszczystej pustyni, musiałem przebyć wiele setek kilometrów po kamienistych ścieżkach, które do tej pory przemierzały jedynie wielbłądy, a w ostatnich czasach specjalnie skonstruowany samochód pustynny.

Z przyjemnością stwierdzam, że przyjęcie, jakiego doznaję w Trypolitanii, jest więcej niż serdeczne. Stale jestem obecny na falach eteru, radio-

stacje zapowiadają każdy mój przyjazd i odjazd. Włosi jednak nie radzą sobie z moim imieniem, znany więc jestem powszechnie jako *Polacco*.

Położenie geograficzne oazy Gadames czyni ją niezmiernie ważnym punktem dla karawan zdążających od wybrzeży Morza Śródziemnego w głąb Afryki czy też ciągnących z pobliskiego Tunisu i Algieru na wschód. Karawany trzymają się szlaków, na których znajdują się źródła lub studnie. Daje im to możliwość napojenia wielbłądów i napełnienia skórzanych worków wodą. Ponieważ Gadames leży w okolicy, w której z jednej strony rozciąga się na setki kilometrów piaszczysta Sahara, a z drugiej jałowa kamienista Hammada el-Homra, jest przeto niezmiernie ważną stacją, której nikt nie omija.

Sercem i duszą oazy są jej obfite źródła wody, które sprzyjają bujnemu rozrostowi palm daktylowych, tworzących cienisty las piętnastu tysięcy drzew. Pszenicę i jęczmień zbiera się w tym szczęśliwym zakątku dwa razy rocznie. Klimat jest tu prawie tropikalny, deszcze są jednak bardzo rzadkie, gdyż wichury harcujące swobodnie po pustynnej okolicy rozpędzają wszelkie chmury.

Gadames otoczona jest wysokimi na sześć metrów murami z cegły, które chronią ją przed lotnymi piaskami. Wszystkie domy zespolone są w jeden gmach, przez który przebiegają ulice-tunele. W lecie ulice te dają przewiew i przyjemną ochłodę przed straszliwym żarem słonecznym, w zimie natomiast



Nad miastem przyziemnym, mrocznym, podobnym do piwnic, znajduje się słoneczne królestwo kobiet, miasto tarasów

pustoszeją niemal całkowicie. Tu i ówdzie widać szczeliny w kształcie kominów, przez które wpada w głąb światło dzienne, pozwalające dojrzeć mężczyzn siedzących na murowanych ławach. Ta część miasta należy niepodzielnie do mężczyzn, czasem tylko przebiegnie Murzynka dźwigając dzban wody na ramieniu lub przeczłapie osiołek obładowany koszami pełnymi daktyli.

Nad miastem przyziemnym, mrocznym, podobnym do piwnic, znajduje się słoneczne królestwo kobiet, miasto tarasów tak ze sobą połączonych, że mieszkanki ich mogą swobodnie obejść całe osiedle, nie schodząc na dół. Tam kobiety gotują strawę mężom, wyplatają koszyki, piastują dzieci i oczywiście plotkują.

Ponad tarasami wystrzela wysoko w górę strzelisty minaret, na który udało mi się wejść i zrobić sporo ciekawych zdjęć. Kosztowało mnie to wprawdzie srebrną dziesięciolirówkę, która utonęła w kieszeni muezina, nie żałuję jednak tego wydatku, pozwolił mi bowiem na ujrzanie kobiet poruszających się



W lecie ulice dają przewiew i przyjemną ochłodę przed straszliwym żarem słonecznym

po tarasach z wdziękiem gazeli pustynnych, których z dolnego miasta ujrzyć nie można.

Ciekawy jest w Gadames podział wody źródlanej na poszczególne ogrody, dokonywany za pomocą tak zwanego „zegara wodnego”. Źródło Ain el-Fras daje około 3000 litrów wody na minutę. Woda ta zbiera się w czworobocznym basenie, z którego prowadzą kanały rozgałęziające się na całą oazę. Każdy właściciel ogrodu opłaca pewną ilość miar wody, a specjalny urzędnik skierowuje odpowiednią jej ilość do odpowiedniego kanału. Miarę stanowi dziurawy kociołek, którym funkcjonariusz czerpie wodę z basenu i który stawia w odpowiednim odgałęzieniu. Kiedy woda wycieknie przez otwór w kociołku, sporządza węzełek na liściu palmowym, po czym znów napełnia naczynie i pozwala wyciec wodzie, powtarzając tę czynność tak długo, aż otrzyma ilość opłaconej wody. W ten prosty sposób dziurawy kociołek spełnia funkcję zegara, bo gdy jego zawartość wycieka na przykład w dziesięć minut, to ktoś płacący ilość sześciokrotną będzie otrzymywał wodę przez całą godzinę.

Zakupiona za pomocą „zegara” woda przepływa wpierrw przez łaźienki, najpierw męskie, potem żeńskie, a ponieważ normalnie temperatura jej sięga 30°C, kąpiel w kamiennych wannach ze stale przepływającą wodą jest naprawdę wielką przyjemnością. Woda wypływająca z łaźienek żeńskich wpada w rozszerzenie kanału stanowiące pralnię, w którym czarne niewolnice piorą bieliznę mężów, pierwszych żon, swoją i dzieci.

Często podczas pobytu w Gadames odwiedzałem namioty Tuaregów pastery, aby zdobyć od nich potrzebne mi informacje. Samo zresztą przebywanie w ich towarzystwie było dla mnie bezcenną szkołą życia. Znając język arabski, mogłem się z nimi łatwo porozumieć, a jako zachętę do rozmowy przynosiłem ulubioną przez nich herbatę z ziół i cukier. Widokowi tych przysmaków nie mógł się oprzeć najstarszy nawet Tuareg.

Gawędziliśmy oczywiście o pustyni, co dawało mi możliwość zebrania masy szczegółów natury topograficznej, tak potrzebnych w dalszej podróży. Pewnego wieczoru popijałem dobrze osłodzoną herbatę z ziół w towarzystwie Beduinów, którzy wędrowali pod wodzą Ali ben Geida. Był to stary wilk pustyni i znał Saharę doskonale, a tak znakomicie wyrysowywał mapy na wygładzonym dłonią piasku, że kopiując je w notesie, miałem później bezcenne drogowskazy w pustyni, która w południowym kierunku od oazy Gadames jest dzika, groźna, pozbawiona dróg i trudna do wędrowki, jej mapy zaś są tak niedokładne, że polegać na nich ani trochę nie można.

